



NATALIA FROMUTH

KEEP
ME
IN

beyA.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Opieka redakcyjna: Barbara Lepionka

Redakcja: Elżbieta Woźniak

Korekta: Dominika Dziarmaga

Ilustracje wewnątrz książki: Gracjan Szewczyk

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: kontakt@beya.pl

WWW: beya.pl

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres:

beya.pl/user/opinie/keepme

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-1402-5

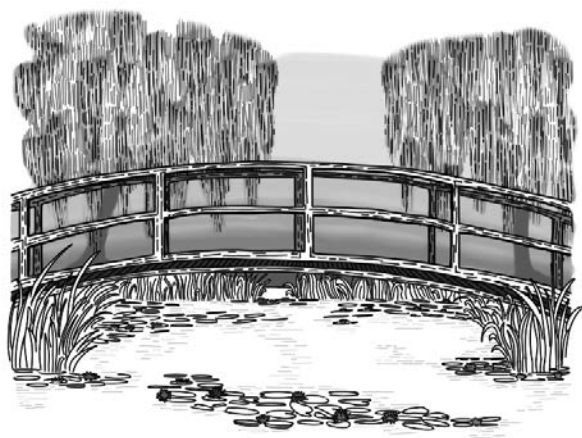
Copyright © Helion S.A. 2026

Printed in Poland.

- [Kup książkę](#)
- [Poleć książkę](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)

Prolog



**„DZIEŁA” TAJEMNICZEJ GRUPY ARTYSTÓW
ROZPRZESTRZENIAJĄ SIĘ PO CAŁYM KRAJU!
POWÓD DO DUMY CZY DO PILNEGO
ZAINTERESOWANIA SIĘ ORGANÓW ŚCIGANIA?**

Graffiti jako forma wyrazu niespełnionych artystów znana jest od pokoleń, a słowo to zostało użyte po raz pierwszy przez archeologów i antykwariuszy pod koniec dziewiętnastego wieku. Każdy z nas spotkał się z obrazem namalowanym na ścianie budynku choć raz, dla niektórych jest to nieodłączny element ich codzienności. Dziś bowiem, chodząc zatłoczonymi ulicami czy przemierzając opuszczone dzielnice, nader często możemy się natknąć na obrazy osadzone w przestrzeni miejskiej. Czy jednak każdy uważa je za odpowiedni sposób wyrażania siebie?

W ubiegłym roku cały świat obieżyły informacje o tajemniczym artyście, który, ukrywając się pod pseudonimem „Vincent van Gogh”, zostawiał ślady w Charlotte w Karolinie Północnej. Jego kanały w mediach społecznościowych gromadzą tysiące obserwujących, a prace są wyceniane na setki dolarów. Wraz z jego popularnością wzrasta jednak oburzenie mieszkańców, którzy nie zgadzają się na to, by ich przestrzeń była traktowana jak osobiste płótno dla samowolnego „artysty”.

Jego najpopularniejsza praca, do dziś nazywana Kobietą z plam, widnieje na jednym z budynków w mieście i pomimo wielu prób jej zniszczenia jest na bieżąco odmalowywana przez zwolenników tego ruchu. Właśnie ten akt wandalizmu stał się symbolem formy ekspresji, która coraz szerzej jest postrzegana jako kontrowersyjna i która budzi poważne pytania o prawo do własności i estetyki miejskiej przestrzeni.

„Uwielbiam malarstwo. Muszą mi państwo wierzyć, że cały mój salon zdobią przeróżne pięknie oprawione obrazy, a lodówka ugina się od rysunków mojej wnuczki. Nie podobałoby mi się jednak, gdyby ktoś siłą wtargnął do

mojego mieszkania i zdecydował o tym, co powinno je zdobić. Właśnie tak się czuję z graffiti – jakby ktoś decydował za mnie, jak miałyby wyglądać moja przestrzeń. To piękny stary budynek i nie podoba mi się, że został skrzywdzony niepasującym i dyskusyjnym aktem sztuki. Jestem pewien, że van Gogh nigdy nie podpisałby się pod nim swoim nazwiskiem. To ogromna ujmą i hańba dla jego dorobku” – komentuje jeden z mieszkańców Charlotte.

Na niekorzyść tych, którzy uważali swoje miasta za spokojne, zaobserwowano niepokojący trend rozprzestrzeniający się w wielu stanach. Obrazy „Klimta”, „Picassa” czy „Dalego” zaczęły pojawiać się na budynkach miast takich jak Nowy Jork, Chicago czy Houston, inspirowane działalnością niezidentyfikowanego artysty z Charlotte. Wszystko wskazuje na to, że w najbliższym czasie władze wielu stanów będą się musiały zmierzyć ze zmasowaną plagą wandalizmu.

Do Bostonu również zdaje się docierać ten nurt „sztuki”. Mieszkańcy od kilku tygodni się niepokoją, dostrzegając coraz to świeższe graffiti w różnych częściach miasta. Tym, co budzi największy niepokój, jest fakt, że w rogu każdego z nich widnieje podpis „Monet” – to kolejny pseudonim inspirowany tajemniczym artystą z Charlotte.

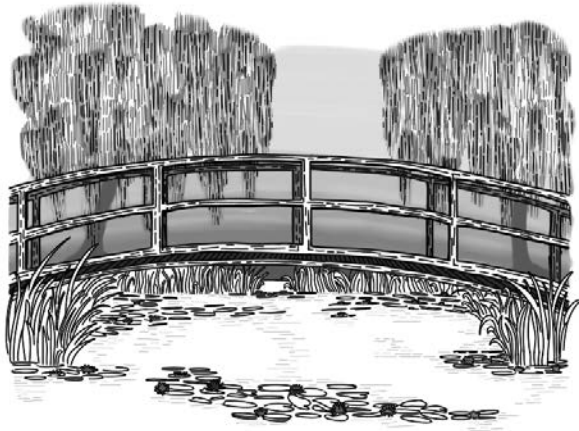
Czy Boston również padł ofiarą tej nielegalnej fali „sztuki”? Czy nasze miasto stanie się „płótnem” dla samозwanych artystów? Wreszcie – czy Boston znajdzie sposób na to, aby ukrócić działania Moneta, nim zajądą one za daleko?

Więcej już wkrótce.

Willow March

ROZDZIAŁ 1.

Odnajdę Claude'a Moneta



Nie obawiasz się, że ten tekst to... za dużo?
Willow spojrzała ze zmarszczonymi brwiami na Tiffany, która po przeczytaniu fragmentu artykułu nie tylko miała wąpiącą minę, ale także brzmiała sceptycznie. Nie tracąc pewności siebie, Willow uniosła podbródek i odwróciła monitor z powrotem w swoją stronę.

– Nie, nie obawiam się.

Spięła łopatkę i wyprostowała się na obrotowym krześle, a w myślach skarciła się za to, że zdecydowała się podzielić artykułem z koleżanką. Tiffany, nieważne, o czym Willow pisała, zawsze miała wątpliwości co do jej pomysłów. Czepiała się nagłówków, z wyższością wyłapywała błędy w tekście i z niegasnącym entuzjazmem podważała każde zdanie, które w jej opinii brzmiało odrobinę zbyt ostro. Mimo to Willow wciąż zdarzało się pytać Tiffany o zdanie. Nawet jeśli za każdym razem musiała powstrzymać się od przewracania oczami, gdy słyszała doskonale znany sobie ton.

– To cięty i stronniczy artykuł. – Głos Tiffany wciąż docierał do jej prawego ucha. – Nie wiem, czy naczelny się zgodzi, żebyśmy jako gazeta zajmowali jakieś stanowisko w tej sprawie. Zwłaszcza jeśli mielibyśmy stanąć po stronie krytyków.

Willow wzięła głębszy oddech.

– Mam dość bycia Szwajcarią, Tiffany. Męczą mnie suche fakty i pisanie o złych rzeczach źle, a o dobrych dobrze. Brakuje mi dyskusji, zapchanej skrzynki mailowej z głosami od mieszkańców,

którzy pisaliby o czymś innym niż sąsiedzkie awantury albo skargi na to, że przeinaczyłam ich wypowiedź w artykule o festynie z okazji święta dyni. – Poprawiła opadającą na oczy grzywkę, a wzrok utkwiła w ekranie.

– Cóż, czy tego chcesz, czy nie, jesteśmy tutaj od newsów, a nie felietonów. – Tiffany wzruszyła ramionami i dłońmi objęła kubek z kawą. – Swoją drogą wysłałam ci parę spraw mailem. Przejrzyj je. Naczelnicy chce, żebyśmy przeprowadziły kilka wywiadów.

Tiffany obróciła się do swojego biurka i zajęła się pracą, podczas gdy Willow wciąż wodziła wzrokiem po artykule. Jej zapał nie przygasał. To pierwszy raz, kiedy zdecydowała się napisać coś swojego. Nie na zamówienie, nie według cudzego szablonu, bez listy neutralnych przymiotników i zwrotów. Coś, co byłoby wyłączeniem jej, co wyróżniłoby ją na tle innych dziennikarzy. Nawet jeśli była tylko stażystką, chciała od początku zwracać na siebie uwagę.

Otworzyła skrzynkę mailową. Zadania od Tiffany już na nią czekały. Pracowały właśnie nad tematem zmiany godzin otwarcia miejskiego basenu, argumentowanej cięciami budżetowymi. Palce ją świerzbily, by napisać, że miasto oszczędza nie na tym, na czym potrzeba, ale się powstrzymała. Jej oczy w pogoni za myślami powiodły w stronę sali konferencyjnej, skąd właśnie wychodzili redaktorzy. Tamto miejsce skrycie jej się marzyło. Chciała przedstawiać swoje pomysły innym albo dokonywać selekcji artykułów, które spływałyby do niej każdego dnia. Pragnęła usiąść kiedyś po drugiej stronie biurka. Tam, gdzie żaden mięsień jej ciała nie będzie spięty, a dłonie nie spocą się ze strachu przed oceną.

Na razie jednak mogła tylko liczyć na Tiffany, na jej opinie. Na to, że zrówna z ziemią każdy jej pomysł.

Piętnaście minut przed wyjściem z pracy, kiedy Tiffany powoli pakowała swoje rzeczy, a Willow dopisywała jeszcze ostatnie zdanie do artykułu o basenie miejskim, zadzwonił telefon na jej

biurku. Nie była z nikim umówiona na rozmowę, ale nie dała po sobie poznać, że jest zaskoczona. Spoważniała, nabrała powietrza do płuc, a jej palce zgrabnie ujęły słuchawkę.

Zanim się odezwała, przełknęła skumulowane w środku obawy. W pracy przeważnie nikt do niej nie dzwonił. Jediną osobą, która za pośrednictwem telefonu zapraszała ją do swojego gabinetu, był szef.

– Willow March, słucham.

– Willow, cieszę się, że złapałem cię jeszcze w pracy.

Tym razem nie było inaczej. Na dźwięk głosu redaktora naczelnego Willow automatycznie wyprostowała się na krześle, a kąciki jej ust ani drgnęły.

– Czy mogę w czymś pomóc? – spytała, choć w duchu doskonale wiedziała, dlaczego dzwonił i do czego zmierzał.

– Czy mogłabyś zajrzeć do mojego gabinetu? Chyba się domyślasz, o czym chciałbym z tobą porozmawiać. Przez telefon tego nie przedyskutujemy.

Przez kilka sekund analizowała barwę jego głosu i ton, jaki przybrał. Nie potrafiła go określić. Nie miała pojęcia, na co powinna się przygotować.

– Oczywiście. Już do pana idę.

– W takim razie do zobaczenia – odparł i zanim zdążyła rzucić ostatnie słowo, połączenie zostało przerwane.

Willow wzięła kilka głębokich wdechów, po czym wstała z krzesła. Rozprostowała zagięcie na spódnicy, poprawiła kołnierzyk i sprawdziła w lusterku, czy ciemnoczerwona szminka nie zostawiła śladu na wargach.

– Naczelnny nas wzywa? – odezwała się Tiffany, zauważywszy podenerwowanie Willow.

– Wezwał tylko mnie. Chce o czymś porozmawiać.

– O Boże... – Tiffany zakryła usta dłonią. – Nie mów, że posłałeś mu ten artykuł. Zrobiłeś to?

Dziewczyna na moment porzuciła swoje nerwowe przygotowania i zawiesiła zagubione spojrzenie na Tiffany.

– Jasne, że nie – parsknęła w chwili słabości, która dopadła ją szybciej, niż się spodziewała.

Szła. Wysłała artykuł do szefa z samego rana, gdy tylko włączyła komputer. Przez cały dzień co chwilę zerknęła do skrzynki i ciągle ją odświeżała w oczekiwaniu na odpowiedź. Była pewna, że to jest ten dzień. Dziś wreszcie chciała zaryzykować. Myślała o tym przez ostatnich parę tygodni, niemal bez przerwy. Miała mnóstwo czasu na to, by się zawahać albo choć trochę w sobie zwątpić. Dlaczego musiało się to stać akurat teraz, kiedy było za późno na krok w tył? Starła się ze wszystkich sił zachować pewność siebie, a słowa, które Tiffany jeszcze przez chwilę rzucała w jej stronę, przefruwały przez nią niesłyszane.

Ruszyła w kierunku gabinetu. Na niemal pustym korytarzu słychać było tylko stukot jej bordowych szpilek, któremu powoli dorównywał łomot serca.

Przez telefon tego nie przedyskutujemy... Aha, bo to nietaktowne zwalniać pracownicę w taki sposób? Może bardziej poprawnie jest rzucić jej reprimendę prosto w twarz?

Myśli galopujące w rytm nierównego oddechu odprowadziły ją pod gabinet Paula Millera. Przez żaluzje widziała jego poruszającą się po pomieszczeniu sylwetkę. Dała sobie jeszcze sekundę na opanowanie zdenerwowania, w końcu zapukała i chwyciła za klamkę. Jej oczy spotkały się z ostrym wyrazem twarzy redaktora naczelnego, który właśnie nachylał się nad plikiem dokumentów leżących na jego biurku. W pierwszej chwili nie potrafiła rozpoznać emocji, jakie wzbudziła w nim jej obecność – zawsze miał tak samo beznamiętną minę.

– Willow, jak zwykle błyskawicznie – parsknął, czym odrobinę rozgonił gęstą atmosferę panującą w gabinecie.

Nieważne, w jakiej sprawie Willow przychodziła do tego pokoju, za każdym razem wyczuwała w nim ten sam przytłaczający, ciężki nastrój.

Odważnie zrobiła kilka kroków w przód.

– Usiądź, proszę. – Paul wskazał na krzesło naprzeciw jego biurka.

Bez słowa zajęła miejsce. Miller również usiadł, po czym wbił w nią przenikliwe spojrzenie i splótł palce. Willow nie unikała wzroku szefa, choć gdyby nagle stopniała w niej ta resztkowa pewność siebie, jaką jeszcze miała, uciekałaby stąd jak najdalej. Miała wrażenie, że jego ciemne oczy przewiercają ją na wylot, a siedzisko krzesła jest gorętsze od ognia piekielnego.

– Domyślam się, że wezwał mnie pan z powodu artykułu, który dziś wysłałam – odezwała się jako pierwsza, nie mogąc znieść ani sekundy milczenia dłużej.

Twarz szefa nawet nie drgnęła, Willow zdecydowała się więc mówić dalej z nadzieją, że znajdzie słowa, które choć trochę zmiękczą jego kamienne oblicze.

– Wiem, że moim zadaniem jest zajmowanie się sprawami sąsiedzkimi, które zasypują naszą skrzynkę, i naprawdę bardzo sobie cenię swoje miejsce w redakcji. Jednak... – Odchrząknęła. – Chciałam panu pokazać, że stać mnie na więcej. Że umiem znacznie więcej.

– Willow. – Sposób, w jaki wymówił jej imię, od razu zamknął jej usta. – Twój artykuł jest bardzo ciekawy. Podejmuje krytykę wobec tego, o czym w Bostonie słyszy się tylko w rozmowach. Jeszcze żadna gazeta nie zdecydowała się publicznie zająć w tej sprawie stanowiska.

Delikatny uśmiech pojawił się na jej twarzy.

– Tak, właśnie dlatego pomyślałam...

– Jak myślisz, dlaczego?

Radość spłynęła z jej twarzy. Willow otworzyła usta w poszukiwaniu odpowiedzi. Musiała milczeć zbyt długo, gdyż Miller zdecydował się odpowiedzieć za nią:

– To ryzykowne wzniecać ogień tam, gdzie tylko się żarzy. Zajmujemy się tematami, które już stoją w ogniu krytyki, i próbujemy je rozwikłać, a nie dolewać oliwy do ognia.

Zmarszczyła brwi i uniosła podbródek.

– Z całym szacunkiem, panie redaktorze, ale uważam, że nasza gazeta nieraz dopuszczała się krytyki wobec tego, co się działo w mieście. Osobiście skrytykował pan parę lat temu plan rewitalizacji Seaport, kiedy reszta gazet milczała na ten temat. Wtedy nikt nie zarzucał panu dolewania oliwy do ognia, wręcz przeciwnie. Odwaga i zaangażowanie gazety są bardzo potrzebne miastu.

Paul Miller uniósł brew, zaskoczony jej śmiałością. Tymczasem serce Willow o mało nie wyskoczyło z piersi. Miała wrażenie, że stres wypala jej czerwone plamy na policzkach.

– Willow, czy naprawdę wierzysz w to, że jakiś niespełniony artysta, podpisujący się nazwiskiem *Monet*, jest tematem wartym wystawienia się na krytykę? Jest wielu miłośników sztuki, którzy za ten materiał mogliby posłać nas do diabła.

W ustach szefa pomysł Willow zabrzmiał tak, że wydał jej się beznadziejny. Obstawała jednak przy swoim.

– Jestem przekonana, że tematem Moneta, tak samo jak Vincenta van Gogha z Charlotte, niedługo będzie zainteresowana cała Ameryka, a my będziemy pierwszą gazetą w Bostonie, która go zdemaskuje. Musi mi pan wierzyć... Nie chcę rozpalać emocji, chcę znaleźć głosy, które są temu przeciwne, poznać historię. Chcę wiedzieć, kto za tym stoi, kim jest Monet i dlaczego zamiast płótna wybiera nasze miasto.

Ostatnie zdanie wzbudziło w Millerze wyraźne zainteresowanie. Zmrużył oczy i zmienił pozycję na fotelu z wysokim oparciem,

kamienna skorupa powoli się kruszyła. Willow nie odrywała od niego spojrzenia.

– Dawno nie miałem w redakcji tak wrywającej się do przodu stażystki. – Cichy śmiech zmienił na chwilę wyraz jego twarzy. – Jesteś piekielnie ambitna, March. To dobrze. Ale pamiętaj, że ambitnych najłatwiej dopada rozczarowanie.

Willow wzięła głęboki oddech.

– Wierzę, że tacy mogą najwięcej zmienić.

Paul Miller wbił plecy w skórzane oparcie swojego fotela i bujał się na nim w ciszy. Oczy wciąż miał utkwione w wyprostowanej sylwetce Willow. Dziewczyna siedziała bez ruchu, emanowała spokojem. Udawany, z trudem bowiem znosiła oczekiwanie na ostateczną decyzję i powstrzymywała się przed wybuchem emocji.

– Cóż, zaryzykujmy. Poddam twój tekst lekkiej obróbce i trochę go zmiękczę. Czekam na twoje śledztwo i dalsze materiały. Zobaczymy, dokąd zaprowadzi nas ten cały Monet.

Na kamiennej twarzy Paula Millera pojawił się nieznaczny uśmiech, a jego wzrok zsunął się z oczu Willow. Dopiero wtedy dziewczyna mogła wypuścić trzymane w płucach powietrze i na moment przymknąć powieki. Potrzebowała paru sekund, aby to do niej dotarło – zgoda. Choć miała ochotę krzyczeć, ze wszystkich sił utrzymywała powagę. Wstała pośpiesznie z krzesła i pewnym krokiem podeszła do szefa. Wyciągnęła do niego drżącą dłoń i spojrzała mu prosto w oczy.

– Dziękuję. To wiele dla mnie znaczy i zrobię wszystko, na prawdę wszystko, żeby udowodnić panu, że to dobra decyzja. Zacznę pracę już dziś i... – Willow urwała, gdy poczuła mocny uścisk jej dłoni.

Paul Miller pokręcił głową, a na jego twarzy znów pojawiło się rozbawienie.

– Zaczynij jutro – odparł spokojnie. – Jest szesnasta, wracaj do domu.

Willow energicznie potrząsnęła jego ręką i posłała mu ostatni uśmiech.

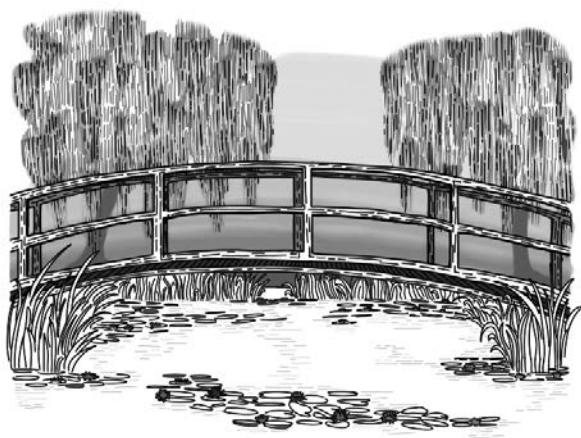
Zamknęła za sobą drzwi gabinetu. Znów poczuła, jak szybko bije jej serce, a dłonie wilgotnieją. Oparła się o ścianę i wzięła kilka głębokich wdechów. *Udało ci się* – na początek pojawiła się jasna myśl. *Nie spieprz tego* – wtrąciły się obawy. Ruszyła korytarem, oddech stawał się lżejszy, a każdy kolejny krok pewniejszy.

Radość iskrzyła jej z oczu, gdy wróciła do swojego biurka. Po Tiffany nie było już śladu, poza wyłączonym komputerem i różowym kubkiem na długopisy na pustym blacie. Willow właściwie też powinna się zbierać do domu. Zamiast tego jednak włączyła komputer i na rozświetlonym pulpicie utworzyła nowy folder.

Odtąd Claude Monet miał być jej pierwszą i ostatnią myślą każdego dnia. Musiała odkryć, kim naprawdę był.

ROZDZIAŁ 2.

Portret panienki March



Dokąd się tak spieszysz, Willow? Jesz jak na wyścigi. Uwaga matki wyrwała dziewczynę z zamyślenia. Uniosła oczy znad talerza i napotkała wzrok rodziców, którzy przypatrywali jej się od dłuższej chwili. Jedynie młodsza siostra unikała jej spojrzenia, wpatrzona we własny talerz. Willow przełknęła kęs i łapczywie nabrała powietrza.

– Do pracy – odparła krótko. – Muszę przeprowadzić parę rozmów.

Nie chciała jeszcze dzielić się z nimi dobrą nowiną. Dopóki nie ujrzy swojego artykułu w gazecie, nie napisze kolejnego i dopóki nie nabierze stuprocentowej pewności, że Miller się nie wycofa – nie zamierzała nikomu o tym wspominać. W razie porażki znosiłaby ją sama. Znacznie trudniej byłoby jej się z nią pogodzić, gdyby musiała ją oglądać także w oczach rodziców. Przechodziła to już wiele razy i nie chciała, aby się powtórzyło.

– W sobotę? Nie mają dla ciebie litości! – Matka pokręciła głową. – Męczą tam tak każdą stażystkę?

Willow spoglądała na nią z uśmiechem, co chwilę zerkając kątem oka na zegar. Zanim zdążyła odpowiedzieć, wtrącił się ojciec:

– Jestem pewien, że Willow jest jedyną osobą, która pracuje tam w soboty – parsknął i uniósł brwi. – Nad czym teraz pracujesz? Słyszałem, że zrobiło się gorąco w temacie basenu miejskiego. Na Facebooku bez przerwy widzę wpisy pełne frustracji. Pewnie teraz dobijają się z tym do gazety, co?

Willow popatrzyła na ojca i uśmiechnęła się szeroko, by dorównać mu teatralnością mimiki, choć w środku zadrżała. Z całych sił starała się nie dać po sobie poznać, że jego słowa znów trafiły w jej czuły punkt. Irytowało ją, gdy lekceważąco odnosił się do jej pracy – jakby ta jej cała gazeta była jedynie kolorowym dodatkiem do porannej kawy. Często w żartach podrzucał jej pomysły na artykuły o sąsiedzkich sprzeczkach, a każde wydanie, które przynosiła do domu, oglądał z kpiącą miną i ze zmarszczonym czołem. Nie traktował jej zajęcia nawet w połowie tak poważnie jak ona. I to bolało ją najbardziej.

– Zajmuję się tematem graffiti, które ostatnio pojawia się w mieście. Mam dojść do tego, kto za nimi stoi i dlaczego je robi.

Choć nie wspomniała, że wykonuje to zadanie w pojedynkę, że sama wystarała się u szefa o ten temat, jej oddech mimowolnie przyspieszył, a oczy bacznie obserwowały twarze rodziców. Ojciec ponownie uniósł brwi i bez słowa odwrócił głowę w stronę żony.

– Nigdy się nie zastanawiałam nad tym, kto za nimi stoi. A jeśli już, to na pewno nie dłużej niż chwilę – zauważyła matka.

Willow dobrze знаła ten udający zainteresowanie ton, który tylko zadawał jej mocniejszy cios.

– Już teraz mogę ci powiedzieć, co odkryjesz, Willow – powiedział ojciec tonem wszechwiedzącego. – To jakiś desperat i niespełniony artysta, który próbuje odplacić się światu za to, że nikogo nie interesuje to, co bazgrze. Pisząc o nim w gazecie, robisz mu jedynie przysługę.

Willow odłożyła z brzękiem sztucze na talerz i wstała od stołu. Na jej twarzy ponownie pojawił się uśmiech, a po ciele rozlała się fala ekscytacji. Choć słowa ojca wciąż wybrzmiewały jej w głowie tym znienawidzonym przez nią echem, myślami była już przy swoim artykule – czuła całą sobą, że ten jeden jedyny raz na-

prawdę by mu się spodobał. Mogli się różnić w wielu sprawach, spierać przy każdej możliwej okazji, ale nie wtedy, gdy chodziło o sztukę. W tej kwestii zawsze byli po tej samej stronie.

– Gdzie będziesz go szukać, Willow?

Zasuwała właśnie za sobą krzesło, kiedy Ivy odezwała się z końca stołu. Willow zatrzymała się w pół kroku i spojrzała na młodszą siostrę przelotnie.

– Jeszcze nie wiem – odpowiedziała, starając się zaspokoić dziecięcą ciekawość. – Ale znajdę go. Prędzej czy później.

– A czy mogłabym go z tobą poszukać?

Duże brązowe, teraz błyszczące ekscytacją oczy Ivy zatrzymały Willow w miejscu. Stała nad siostrą i ze śmiechem poczochnęła ją po głowie.

– Może następnym razem, co?

Ivy posłała jej uśmiech i skinęła. Nie spytała o nic więcej, bez słowa wróciła do dojadania obiadu.

Kilka minut później Willow w pełnej gotowości stała za drzwiami mieszkania. Ubrana w białą koszulę, spódnicę i ulubione bordowe lakierki na obcasie zawiesiła na ramieniu torbę, do której zapakowała wszystkie niezbędne do dziennikarskiego śledztwa przedmioty – długopis, aparat, notatnik, a przede wszystkim ulotkę zerwaną dzień wcześniej ze słupa.

Otwórz się na kolory! Zajęcia z malarstwa czekają na Ciebie w każdą sobotę!

Zastanawiała się nad ścieżkami, którymi powinna na początek podążyć. Rozważała śledzenie forów artystycznych i rozmowy ze sprzedawcami w lokalnych sklepach z farbami, przecież muszą pamiętać regularnych klientów. Ostatecznie to ta ulotka, z banalną grafiką i tekstem pisanym Comic Sans, najmocniej przykuła jej uwagę. Willow nie miała pojęcia o malarstwie. Nie

była obeznana w kwestii farb, nie wiedziała, które kolory trzeba połączyć, by uzyskać nową barwę, więc nie wiedziała także, jakie pytania powinna zadać, aby zbliżyć się do prawdy.

W pośpiechu wskoczyła do pociągu metra, przynajmniej mogła się schować przed październikowym chłodem. Pracownia malarska, do której chciała najpierw dotrzeć, znajdowała się w dzielnicy Jamaica Plain – ogólnie urokliwej, ale tym razem plan poprowadził ją w uliczkę, która nie należała do najpiękniejszych. Na rogu ciemnej ceglanej kamiennicy dostrzegła szyld. *Colorless Studio*. Parsknęła śmiechem. Niefortunna nazwa, Willow nie widziała mroczniejszego i bardziej odpychającego miejsca na pracownię sztuki.

Zajrzała przez szybę do środka, dostrzegła kilka sztalug, grupę dzieci z pędzlami w dłoniach i kilkoro dorosłych, pochylonych nad swoimi pracami. Pomiedzy nimi przemykał chłopak, na oko w jej wieku – z zaangażowaniem krążył między uczestnikami zajęć, pokazywał coś na jednym obrazie, a po chwili komentował inny.

W pewnym momencie jego wzrok padł na Willow. Zmrużył oczy, jakby próbował odgadnąć, kto obserwuje zajęcia z ulicy. Dziewczyna wzięła głęboki wdech i podeszła do drzwi. Gdy przekraczała próg, nad jej głową rozległ się dźwięk dzwonka, a w nozdrza uderzyła ją dusząca woń farb. W pomieszczeniu było ciepło, więc na policzkach Willow od razu zakwitły rumieńce.

Chłopak ruszył w jej stronę, po drodze rzucił jeszcze kilka uwag pod adresem uczniów.

– Przyszła pani na zajęcia? Bardzo mi przykro, ale za chwilę kończymy. – Stał naprzeciw niej, poprawił dłonią swoje rozczochrane włosy i oparł ręce na biodrach.

Willow pokręciła głową i uniosła podbródek.

– Willow March, gazeta „Boston Ledger”. Piszę artykuł na temat graffiti i samowolnych artystów w naszym mieście. Czy

mogłabym zostać i zadać parę pytań? – Wyciągnęła do niego dłoń i wbiła w niego pewne spojrzenie.

Chłopak patrzył na nią bez słowa, a jego usta powoli rozciągały się w uśmiechu. Intensywność, z jaką jej się przyglądał, zbiła Willow z tropu, a każda sekunda jego milczenia coraz bardziej ją uwierała. Dlaczego przyglądał jej się w taki sposób? Powiedziała coś nie tak? Miała na twarzy coś, co go rozbawiło?

– Samozwańczych, tak? – prychnął cicho z rozbawieniem, po czym ostrożnie uściśnął jej dłoń. – Evander Hartwell. Cała przyjemność po mojej stronie. – Kiwnął szarmancko głową, nie odrywając od niej spojrzenia. – Musi mi pani wybaczyć, ale teraz prowadzę zajęcia.

– W porządku. Zaczekam – odparła Willow. Odnalazła wzrokiem wolne krzesło. – Mogę tu usiąść?

Evander nie zaprotestował. Krótkim skinieniem zgodził się, aby dziewczyna usiadła przy jednej z niezajętych sztalug, po czym powrócił do swoich zajęć. Willow wyciągnęła z torby notes i ułożyła go na pobrudzonym farbami niewielkim stoliku. Pstryknęła długopisem i na górze kartki zapisała imię i nazwisko.

Evander Hartwell, Colorless Studio, ten, który dziwnie na mnie patrzył – pisała hasłami, by później łatwiej odnaleźć się we własnych notatkach. Zawsze tak robiła, a kiedy siadała do pisania artykułu, tak sporządzone zapiski pozwalały jej szybciej przypomnieć sobie osobę, z którą rozmawiała. Teraz jednak, patrząc w stronę Evandera, była niemal pewna, że trudno będzie jej o nim zapomnieć. Chłopak był uosobieniem wszystkiego, czego na co dzień unikała. Głośny, z nieschodzącym z twarzy uśmiechem, w ubraniu poplamionym farbami. Nawet na jego rozczochranych włosach można było dostrzec kolorowe smugi.

Rozejrzała się po pracowni. Choć było w niej duszno od farb i piekielnie ciepło, wcale nie wyglądała przytulnie. Pomieszczenie

było podobnie zapuszczone jak budynek z zewnątrz. Na ścianach wisiały obrazy, głównie w odcieniach czerni i bieli. Dopiero gdzieś w kącie zauważyła stos płócien, na których malowano kolorami. Z poziomu ich wykonania wynikało, że to prace uczniów Evandera.

Zajęcia, które prowadził Hartwell, trwały jeszcze piętnaście minut. Willow, choć bardziej z nudów niż przez zaangażowanie w temat, przyglądała się jego pracy. Mimo że pędzel w jej dłoni to ostatnie, czego by sobie życzyła, słuchała rad, jakby były skierowane również do niej. Być może przez przyjemny ton głosu prowadzącego, zachęcający, aby go posłuchać. A może przez oczy, które co jakiś czas odnajdywały ją pośród płócien i wtedy patrzyły na nią niezmiennie intensywnie.

W końcu nauczyciel pożegnał uczniów. Pomógł starszej kobiecie włożyć płaszcz i wręczył parasol chłopcu, bo ten przyszedł na zajęcia w kurtce bez kaptura.

– Bardzo dziękuję państwu za dziś. Obiecuję, że w przyszłym tygodniu prace będą do odbioru. Pokryję płótna werniksem, będą jeszcze piękniejsze, niż są teraz. – Próbował przedrzeć się przez gwar rozmów.

– Panie Evanderze, chciałam podziękować za dzisiejsze rady. Bardzo mi pan pomógł. – Willow usłyszała dziewczęcy głos. – Życzę panu udanego tygodnia!

Evander skinął głową w stronę dziewczynki i posłał jej szeroki uśmiech.

– Tobie również, Emily. Wracaj ostrożnie do domu.

Hartwell pożegnał wreszcie ostatniego ucznia i w pracowni zapanowała cisza. Przerywały ją jedynie rozbijające się na szybie krople deszczu, którym zawtórował stukot butów Evandera, kiedy ten ruszył w kierunku Willow. Dziewczyna poderwała się z krzesła, przyciskając do piersi notatnik.

– Więc... czego u mnie szukasz, panienko March? – Zaśmiał się cicho, obdarowując ją jednym z tych uśmiechów, którymi przed chwilą żegnał swoich podopiecznych.

Panienko March? Jeszcze nie potrafiła stwierdzić, czy był wobec niej szarmancki z natury, czy może tylko próbował wytrącić ją z równowagi. Willow zachowała powagę i zmarszczyła lekko brwi. Cokolwiek zamierzał, tak łatwo mu się nie da.

– Odpowiedzi na pytania. Interesuje mnie graffiti. W szczególności to podpisane pseudonimem Monet. Pewnie pan słyszał... Próbuję się dowiedzieć, kto i co za tym stoi.

Uśmiech Evandera przygaś, by ustąpić miejsca dezorientacji, a po chwili także ciekawości. Uniósł brwi i skrzyżował ręce na piersi.

– A jak ja mógłbym pomóc w tej sprawie?

– Chciałabym porozmawiać z kimś, kto spojrzałby na te obrazy inaczej niż przeciętny przechodzień – odpowiedziała spokojnie, zerkając na ścianę za jego plecami, gdzie wisiał rozmazany pejzaż w czerni i bieli. – Kimś, kto zna się na malarstwie, rozpozna styl, może coś wywnioskuje, podsunie mi jakiś trop... Szukam kogoś, kto rozumie, czym jest sztuka.

Patrzył na nią, pozostając w tej samej pozycji. Ciekawość wciąż wyzierała z jego oczu.

– Wydaje mi się, że wiem coś na temat sztuki – odparł.

– Świetnie! – Poślała mu krótki, niemal wyuczony uśmiech, po czym zajrzała do zeszytu. – To nie potrwa długo, zadam tylko parę pytań. Czy moglibyśmy gdzieś usiąść?

Uniosła brwi i zastygła w miejscu, czekając na odpowiedź, lecz Evander ani drgnął. Stał bez słowa i przyglądał się jej tym samym przedziwnym spojrzeniem, które zauważyła u niego wcześniej. Patrzył na nią z pogodną miną, a jego oczy zdawały się analizować każdy szczegół jej twarzy. Willow znów poczuła

się niekomfortowo pod wpływem tego spojrzenia, odchrząknęła i zajrzała do notatnika.

– W porządku. To i tak zaledwie kilka pytań, więc możemy stać – mamrotała, pstrykając długopisem. – Czy w ostatnim czasie...

– Mam tylko jeden warunek – odezwał się nagle, czym momentalnie zamknął jej usta.

– Warunek? – Willow zmarszczyła brwi i podniosła wzrok znad zeszytu.

– Zgodzę się na wywiad, jeśli pozwoli mi pani namalować swój portret. – Spokojny głos i promienny uśmiech kontrastowały z jej zdziwioną miną. – Myślę, że to całkiem rozsądna wymiana. Ja wiem coś na temat sztuki, a pani ma twarz, którą chciałbym przenieść na płótno.

Willow na moment wypadła z roli poważnej dziennikarki, której tak usilnie próbowała się trzymać. Stała z otwartymi ustami, oniemiała, zaskoczona absurdalnością tej propozycji, ale także... jej urokiem. Jeszcze przez chwilę patrzyła na niego, próbując wyczytać z jego twarzy, czy to żart, ale się go nie dopatrzyła.

– Teraz? – wypaliła.

– Oczywiście. Mam wszystko, czego potrzeba.

Willow przymknęła powieki, tego w swoim planie nie przewidziała.

– Czy to aby na pewno konieczne? – Skrzywiła się, gdy Evander stanął nad swoimi pędzlami, ołówkami do szkicowania i farbami. – Odpowiedzi na moje pytania zajmą chwilę. Mogę nawet nigdzie nie publikować tej rozmowy, szukam tylko jakiegokolwiek punktu zaczepienia...

– Czy pozowała pani kiedyś do portretu? – spytał, zignorowawszy zupełnie to, co mówiła Willow.

Z kilku przygotowanych na zajęcia blejtramów wybrał jeden i ustawił go na sztaludze. Zasiadł przed nią i wskazał dłonią na pu-

ste krzesło z niemą prośbą, aby Willow usiadła. Ta, choć wciąż nieprzekonana, zbliżyła się do siedziska i zacisnęła palce na oparciu.

– Nie. Nie przypominam sobie.

– Ja też jeszcze nigdy nie udzielałem wywiadu dziennikarce. Musi mi pani wierzyć, że jestem podobnie przejęty.

Jego spojrzenie i szeroki uśmiech tylko podsyciły jej nagłe zawstydzenie. Nie chciała, by wyczytał z jej twarzy stremowanie. To w końcu nic wielkiego. Chwila i jeden nic nieznaczący obraz, którego nawet nie zdąży skończyć, nim ona zada mu ostatnie pytanie. Wstrzymała oddech, kiedy wreszcie zdecydowała się usiąść naprzeciw niego.

Zresztą niech ma – spodobało jej się, że nazwał ją *dziennikarką*, więc tak się odwdzięczy za ten zaszczyt. Nigdy wcześniej nikt tak o niej nie powiedział. Nawet jej z trudem przychodziło myślenie o sobie w ten sposób.

Kiedy poczuła na sobie jego spojrzenie, chrząknęła nerwowo i zajrzała do notatnika.

– Zanim zaczniemy, chciałabym wiedzieć, czy to w porządku, jeśli będę się zwracała do ciebie po imieniu. – Wyprostowała plecy, a jej twarz znów spoważniała.

Rzadko się zdarzało, aby ktoś nazywał ją panienką albo używał wyłącznie nazwiska, kiedy się do niej zwracał. Jeśli już, to padało ono z ust kogoś starszego. O wiele starszego niż Evander. Wciąż nie potrafiła go rozgryźć. Nie wiedziała, czy jego szarmanckość była prawdziwa, czy to jedynie wydumany sposób bycia albo zagrywka wymyślona po to, by ją wyśmiać.

Dziwnie... szarmancki? – dopisała w notatniku, gdy czekała na odpowiedź.

Evander wyrzwał zza sztalugi, by zerknąć na Willow, i zaraz zaznaczył ołówkiem na płótnie kilka punktów, po czym zamasy-
stym ruchem naszkicował kształty.

– Oczywiście. Dlaczego nie? – Wzruszył ze śmiechem ramionami.

– Może to nieprofesjonalne, ale dla mnie znacznie bardziej wygodne. Wygląda na to, że jesteśmy w podobnym wieku, i z tym panowaniem sobie nawzajem czuję się... Nie mam pojęcia, chyba trochę dziwnie.

Dziwnie. Zdecydowanie zbyt często używała dziś tego słowa.

Chłopak pewnym ruchem szpachelką nałożył na paletę farby w dwóch kolorach, białym i czarnym, i sięgnął po pędzel. Co chwilę zerkał na Willow zza blejtramu. Z twarzy nie znikalała mu radość.

– Dobrze, Willow – wypowiedział jej imię ostrożnie, wciąż odrobinę się z nią drocząc. – Co dla mnie przygotowałaś?

Może właśnie tak ma być? Może ze wszystkim, co stoi za Monetem, będzie *dziwnie*?

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

CLAUDE MONET ŻYJE I MIESZKA W BOSTONIE

Moda na graffiti tworzone przez naśladowców sławnych artystów rozlewa się po USA. Zainspirowani przez Vincenta van Gogha z Charlotte w Karolinie Północnej, w kolejnych stanach ujawniają się współcześni Dali, Klimt, Picasso. Twórca pozostawiający swoje dzieła na murach Bostonu podpisuje się „Monet”. Willow March, młoda stażystka w lokalnej gazecie, podejmuje w jego sprawie dziennikarskie śledztwo.

W ramach swoich poszukiwań Willow trafia na zajęcia malarstwa prowadzone przez Evandera Hartwella. Właściciel studia Colorless jest głośny, zawsze uśmiechnięty, żywiołowy i chaotyczny, reprezentuje sobą wszystko, czego Willow March na co dzień unika. A jednak może się okazać przydatny dla prowadzącej śledztwo adeptki dziennikarstwa – o ile pomoże jej zrozumieć artystyczny zamysł, jaki stoi za działaniami tajemniczego Moneta.

Hartwell zgadza się zostać przewodnikiem March po świecie sztuki. Stawia jej tylko jeden warunek.

Chce namalować jej portret.

Seria **ON THE INSIDE**



beyA 14+
beyA.pl

ebook dostępny na:
ebookpoint

ISBN 978-83-289-1402-5



9 788328 914025

cena: 49,90 zł